



PUSTELNIK

Więcej nas nie ma,
niż jesteśmy



ŁUKASZ BASTA

Pojawia się w miasteczku od czasu do czasu, starając się umknąć ciekawskim spojrzeniom mieszkańców.

Jego domem stały się leśne ścieżki, pośród których szuka ukojenia i próbuje zapomnieć o traumatycznej przeszłości. Cichy, wycofany, otoczony aurą niedopowiedzeń – od pierwszego spotkania wzbudza w Annie nieodpartą ciekawość. Czy będzie potrafiła udźwignąć ciężar doświadczeń, które niesie ze sobą Jan, gdy ich drogi skrzyżują się na dobre?

Poruszająca historia o miłości, odkupieniu i odnajdywaniu spokoju w świecie, który łatwo ocenia i zbyt szybko wyciąga wnioski. Bohaterowie tej opowieści zmagają się z samotnością, brakiem akceptacji i oczekiwaniami ze strony otoczenia. To opowieść, która przypomina, że nigdy nie jest za późno, aby zacząć żyć naprawdę.



ŁUKASZ BASTA – ur. 1985 w Nowym Sączu, absolwent Wydziału Inżynierii Mechanicznej i Robotyki AGH w Krakowie od 15 lat związany z branżą kolejową, którego debiutancka książka powstała z miłości do żony Joanny. Oprócz ukochanej, będącej jego największą inspiracją, poszukuje natchnienia, wędrując po Puszczy Niepołomickiej.


Sorus

PRZEJDŹ
do księgarni online:
www.sorus.pl

ŁUKASZ BASTA

PUSTELNIK

Więcej nas nie ma,
niż jesteśmy



Redaktor prowadzący: Wojciech Nowakowski
Redakcja: Magdalena Chrobok
Korekta: Wojciech Nowakowski
Projekt okładki: Julia Filip
Skład i łamanie: Maciej Torz

Copyright © by Łukasz Basta 2025

Copyright © by Sorus® 2025

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości
bądź fragmentów niniejszego dzieła bez pisemnej zgody wydawcy jest zabronione.

ISBN 978-83-68095-90-6 książka

ISBN 978-83-68095-91-3 e-book

Wydanie I, Poznań 2025

Printed in Poland

Twoja opinia jest dla nas ważna! Zachęcamy do podzielenia się wrażeniami
po lekturze tej książki i dodania swojej oceny: www.sorus.pl/opinia

Masz pomysł na książkę lub gotowy tekst? Opublikuj swoje dzieło ze wsparciem
wydawnictwa i dołącz do grona naszych autorów: www.sorus.pl/dlaautorow

Wydawnictwo Sorus

DM Sorus sp. z o.o.

ul. Bóżnicza 15/6, 61-751 Poznań

tel. +48 61 653 01 43

e-mail: sorus@sorus.pl

Księgarnia internetowa: www.sorus.pl/sklep



www.sorus.pl



[dmsorus](https://www.facebook.com/dmsorus)



[wydawnictwosorus](https://www.instagram.com/wydawnictwosorus)

Dla mojej żony Joanny

Rozdział 1

Mówili na niego Janek. Pojawił się w okolicy puszczy jakieś trzy lata temu. Wśród ludzi krążyły plotki, że zamieszkał w starej chacie po leśnikach, którzy przenieśli się na obrzeża puszczy do nowego budynku. Leśniczówka, a raczej stara drewniana szopa, która służyła leśnikom bardziej za magazynek narzędzi niż miejsce do spania, znajdowała się głęboko w lesie na małej polanie, która otoczona była dębami i gęstymi zaroślami.

Cała z drewnianych desek, w większości nadjedzonych przez korniki. Szpary między nimi były tak duże, że gdzieś tam można było włożyć dwa palce, a przez dziurawy dach oglądać gwiazdy na nocnym niebie, jeśli komuś spodobałoby się takie ekstremalne przeżycie jak samotna noc w czymś takim. Stała więc na tym odludziu, opuszczona i pozostawiona na pastwę wilgoci i leśnych stworzeń. Od czasu porzucenia jej przez leśników wszystkie ścieżki wokół porosły młodymi drzewami i krzakami, tak że nikt się tam nie zapuszczał. Do najbliższych zabudowań było ze dwie godziny drogi przez las i nikomu nie chciało się tak daleko chodzić. Wprost idealne miejsce dla osoby, która nie chciała się specjalnie pokazywać, zapewniające spokój od turystów i grzybiarzy.

Jan unikał ludzi i starał się nie wychylać. Koniec końców raz czy drugi został jednak zauważony. A to w lesie, a to na jego skraju przy polach rolników. Mimo podjętych starań nie uniknął kontaktów. Po paru miesiącach mieszkania w swojej szopie chciał ją tu i ówdzie naprawić. Skoro i tak ludzie już o nim wiedzieli, zaczął szukać pracy

u rolników, lecz do miasta nie chodził. Może bał się, że ktoś go rozpozna. Często pomagał rolnikom w ich gospodarstwach. Robił, co było do roboty. Nie narzekał. Czasem było to zbieranie ziemniaków, pomoc przy żniwach, a czasem jakaś drobna naprawa. W rejonie puszczy było dużo starych gospodarstw prowadzonych z dziada pradziada, gdzie domy były murowane, a stodoły drewniane. W takich stodołach zawsze znajdzie się coś do roboty. Pieniędzy nie brał. Mówił, że nie są mu potrzebne. Zresztą, gdzie miałby je wydawać.

Pracował za jedzenie, czasem za rzeczy, które były mu potrzebne do naprawy starej leśniczówki. Właśnie na starych rzeczach od rolników, które nie były im potrzebne, zależało mu najbardziej. Im już do niczego się nie przydadzą, ale w jego szopie będą idealne. Poprawią choć trochę coś, co można by nazwać jego komfortem bytowania. Ucieszył się, gdy dostał siekierę i piłę do drewna. Mógł wreszcie naprawić przeciekający dach, do tej pory tymczasowo doszczelniony mchem i gałęziami. Najbardziej zadowolony był, gdy dostał stary piecyk, kozę. To był ogromny skok w jego małej cywilizacji. Nie był już więcej uzależniony od ogniska i od ciągłych obaw, czy deszcz je zaleje, czy nie. Kozą dawała też ciepło w zimie i można było na niej zagrzzać wodę w starym, pordzewiałym, ale nieprzeciekającym garnku. Tak z czasem doprowadził swoją szopę do w miarę odpowiednich warunków i, co najważniejsze, nic mu już na głowę nie kapało.

Z pobliskiego stawu przyniósł sporo kamieni i przygotował z nich palenisko, a ze starej metalowej siatki ogrodzeniowej, podwieszanej na drewnianych palikach wbitych w ziemię, zrobił sobie ruszt do pieczenia. Żeby mu się lepiej siedziało, przytaszczył dużą kłodę drewna, którą ktoś zostawił przy wycince drzew, i posłużyła mu ona za ławeczkę... Powoli budował swoją samotnię.

Niektórzy ludzie widywali go w lesie podczas zbierania grzybów albo nad stawem, gdy w ustronnym, osłoniętym drzewami zakątku łowił ryby, a czasem kąpał się w nim. Potem ktoś zobaczył, jak wieczorem wśród drzew porusza się jakaś postać. Widać było tylko kogoś w ciemnej pelerynie, kto trzyma coś w ręku, jakby zwisające truchło zająca bujające się w rytm kroków.

Z peleryną się nie rozstawał, chroniła go przed deszczem, spadającymi liśćmi i gałęziami, ograniczała dostęp do skóry owadom, a także wścibskim ludziom, którzy chcieli zobaczyć jego twarz. Chował wtedy głowę pod kaptur i trzeba było znaleźć się bardzo blisko, by dojrzeć coś więcej. Zawsze przepasał się grubym skórzanym pasem, do którego miał przytroczone dwie najważniejsze dla niego rzeczy: duży nóż myśliwski, prawie dwudziestocentymetrowy, w skórzaney pochwie z jednej strony i brązowy woreczek z drugiej, a w woreczku scyzoryk szwajcarski i metalowe pałeczki krzesiwa. Ogień to było to, co już ludziom pierwotnym zapewniało przetrwanie, a on niewiele się od nich różnił.

Czasem niektórzy turyści schodzący ze szlaku i zapuszczający się w głąb lasu widzieli osobę niosącą na plecach martwą sarnę. Taka zdobycz zapewniała mu zaspokojenie głodu na kilka tygodni, ale zdarzała się rzadko. Częściej były to ryby i owoce z lasu, nie licząc ziemniaków od gospodarzy. Turyści opowiadali potem w pobliskim mieście o dziwnej postaci z puszczy, kłusowniku, zjawie, różnie go nazywali, w każdym razie był to ktoś obcy, którego nie znali, a niewiedza podsuwa wyobraźni najrozmaitsze obrazy. Na początku budził strach wśród ludzi, szczególnie tych z miasta, którzy zaczęli straszyć swoje dzieci „duchem puszczy”, gdy te nie chciały jeść. Miejscowi jednak z czasem przyzwyczaili się do jego obecności, poza tym i tak niewiele go widywało. Wzbudzał u nich ciekawość i lęk.

Rozdział 2

Anna, córka wiejskiego sklepikarza Henryka z małej wsi przy puszczy, mieszkała razem ze swoim ojcem. Jej matka umarła na raka parę lat wcześniej. Pomimo prawie trzydziestu lat życia Anny taki układ był dobry dla nich obojga. Ojciec nie był sam w dużym domu, a ona nie musiała wydawać pieniędzy na mieszkanie. W domu pokoi było dużo, a wynajem mieszkania w pobliskim miasteczku był dla niej nieopłacalny. Ceny najmu były bardzo wysokie. Miasteczko było miejscowością turystyczną i właścicielom bardziej opłacało się wynajmować turystom na krótki termin, ale za dobre pieniądze, niż swoim na stałe. Wynajem długoterminowy w takich okolicznościach, który byłby dla Anny najlepszy, nie wchodził w grę. Z pensji urzędniczek miejskiej po opłaceniu czynszu niewiele by jej zostało na życie. Poza tym od śmierci matki ojciec Anny stał się bardzo nerwowy i nie chciał nawet słyszeć o wyprowadzce swojej córki. Latem jeździła do pracy na rowerze. Starła się to robić codziennie. Droga przez las była najkrótsza, a do tego podczas ładnej letniej pogody leśne widoki były relaksujące i miłe dla oka. Zimą zaś dojeżdżała do pracy samochodem, bo przez las nie sposób było przejechać.

Anna wstała wcześniej niż zwykle. Noc była ciepła i nad ranem po przebudzeniu dziewczyna stwierdziła, że nie chce już leżeć w łóżku. Przecierając oczy z resztek snu, poczuła na skórze, jak chłodny wiatr wlewa się do wnętrza jej pokoju. Wstała i podeszła do otwartego okna. Poranne promienie słońca orzeź-

wiły ją. Przystanęła i wzięła głęboki oddech, odgarniając swoje czarne długie włosy. Świeże powietrze o zapachu lasu sprawiło, że uśmiechnęła się na myśl o nadchodzącym dniu, a śpiew ptaków za oknem jeszcze bardziej pobudził ją do działania. Zawsze była radosna i jej energia udzielała się wszystkim znajomym. Nieoprawna optymistka i marzycielka. Poranna toaleta zajęła jej kilka minut. Znacznie krócej niż w inne dni. Ubrała się szybko i zbiegła schodami na dół do kuchni. Chwyciła ze stołu suchą bułkę z wczorajszej kolacji i wybiegła przed dom.

Jechała wolno rowerem leśną ścieżką. Czas, który zyskała przez wcześniejszą pobudkę, pozwolił jej cieszyć się dłużej widokami podczas jazdy. A lato było piękne tego roku, choć nadzwyczaj suche. Dopiero od paru tygodni zaczęły pojawiać się poranne deszcze, które w kilka dni sprawiły, że las się zazielenił. Mijała znane drzewa sosnowe, potem liściaste. Pamiętała jeszcze, jak przed deszczami liści nie było tak wiele i można było zajrzeć głębiej w las, bezpośrednio ze ścieżki. Śpiew ptaków umilał jej podróż. Nie miała pojęcia, że to, co się dziś wydarzy, zmieni jej życie. Właśnie mijała rozjazd, gdzie szlak turystyczny rozdzielał się na dwie ścieżki. Lokalni nazywali ścieżką dla niedzielnych tę, którą jechała, a drugą, trudniejszą, dla wytrawnych turystów. Już wcześniej zauważyła, że coś porusza się za drzewami, ledwie mogła dostrzec zarys ludzkiej sylwetki. „Pewnie jakiś grzybiarz”, pomyślała.

Po chwili zza drzew wyłoniła się postać w pelerynie. Zaciekało ją to. Liście nie były tak gęste i mogła wreszcie dojrzeć więcej szczegółów. Rosły człowiek wyszedł z lasu i zmierzał w kierunku ścieżki. Miał na sobie zieloną pelerynę, która zlewała się z listowiem, dlatego nie mogła dostrzec go wcześniej. Peleryna sięgała mu aż do kolan. Teraz widziała już wyraźnie. Człowiek miał za-

rzucany na głowę kaptur, więc trudno jej było dojrzeć twarz. Gdy wchodził na ścieżkę, zauważyła, że obcy trzyma coś w ręku. Był to martwy zając, a mężczyzna trzymał go za uszy. Widok ten zaskoczył Annę i przypatrywała się temu z zaciekawieniem, starając się utrzymać na rowerze. Nie udało się. Nagle poczuła uderzenie i, zanim się obejrzała, straciła równowagę. Wjechała na wystający kamień. Znała tę drogę i wiedziała, że trzeba patrzeć przed siebie, niestety postać wyłaniająca się z lasu odwróciła jej uwagę. Próbowала jeszcze się wyratować, ale na nic się to zdało. Runęła jak kłoda do przydrożnego rowu. Po chwili szoku zaczęła się zbierać, powoli sprawdzając, czy czuje wszystkie kości. Upadając, otarła prawe ramię o skarpę i czuła piekący ból. Spojrzała na nie i znalazła otarcie, jednak bez krwi. Ramię bolało ją od uderzenia. Wstając ślamazarnie z kolan i próbując otrząść się z ziemi i wilgotnych liści, zauważyła nad sobą cień nieznajomego. Podniosła oczy w górę i wtedy zobaczyła go dokładnie. Był to wysoki mężczyzna. Na nogach miał czarne gumowce z zamszowym szarym wykończeniem u góry, ubłocone aż do kostek. Nogawki szarych przetartych spodni były wsunięte do butów. Tuż przy kolanach zaczynała się zielona peleryna przepasana grubym pasem, do którego przyczepiony był woreczek z czymś, czego nie umiała zidentyfikować. Z lewej strony ujrzała nóż w pochwie przytroczony do pasa, a z prawej trzymane za uszy truchło zająca. Widok ten spowodował grymas na jej twarzy. Peleryna była zapięta i nie widziała, co jest pod spodem. Z gabarytów mogła się domyślać, że coś cienkiego, najwyżej koszula. Człowiek ten miał szerokie ramiona, dłonie duże, tu i ówdzie poranione, może nożem, a może ostrymi krzewami. Pod kapturem dojrzała nieogoloną twarz, a długie czarne włosy wystawały poza kaptur. W pierwszej chwili obleciał

ją strach. Słyszała o obcym, który zamieszkał w lesie, ale nigdy go nie widziała. Zanim zdążyła się odezwać, obcy zapytał:

– Czy wszystko w porządku?

– Tak! – odpowiedziała. – Trochę się obtarłam, ale będę żyć – uśmiechnęła się z delikatnym grymasem bólu na twarzy. – Tylko... mój rower – wzrok skierowała na dół.

Obcy spojrział na rower leżący w rowie, ubłocony i oblepiony liśćmi. Kierownica była wykrzywiona względem koła. Mężczyzna wskoczył do rowu, zdążyła poczuć tylko smagnięcie peleryny, i już pojawił się z powrotem na ścieżce z rowerem przed sobą. Stał przed przednim kołem, objął je kolanami i mocnym szarpnięciem rękoma wyprostował kierownicę.

– Proszę, już można jechać – odezwał się.

Widok ten zdumiał Annę, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, obcy przekazał jej rower. Wsiadła na niego i ruszyła. Odjechała kilka metrów i zatrzymała się. Obróciła się w jego stronę. Zobaczyła, jak chwyta za uszy zająca, którego wcześniej wypuścił z rąk, i zbiera się do drogi.

– Ty... – zaczęła. – Jesteś tym włóczęgą, który mieszka w starej leśniczówce? – spytała. – Mówią na ciebie Janek, prawda?

Obcy skinął głową, nie odzywając się. Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Dziękuję... jestem Ania! – uśmiechnęła się na pożegnanie i odjechała. Obejrzała się jeszcze raz za siebie, ale mężczyzna zniknął gdzieś w leśnej gęstwinie.

Rozdział 3

Słońce powoli wyłaniało się nad lasem. W starym drewnianym domu na skraju puszczy zapaliło się światło. Jego mieszkaniec wstał wcześniej, tuż przed świtaniem. Zjadł śniadanie – dwie kanapki z białym serem i wędliną, popite mocną kawą z dodatkiem dużej ilości cukru. Ubrał się prędko i wyszedł z domu. Dzień był chłodny, ale mgła już opadła. Dom starszego człowieka wraz z gospodarstwem znajdował się niedaleko rozstaju dróg, gdzie droga asfaltowa zamieniała się w dwie drogi utwardzone prowadzące w las. Na podwórzu czekał wóz przygotowany do wyprawy. Starszy mężczyzna poszedł po swojego konia do stajni. Po kilku minutach wyprowadził zwierzę. Koń był kary, wielki w kłębie, ale już siwy, tak samo jak jego właściciel. Podprowadził konia do wozu i zaczął go zaprzęgać. Nie trwało to długo i niemal wszystko było już gotowe do wyjazdu po drzewo do lasu. Gospodarz poszedł jeszcze po drewnianą skrzynkę do małej szopki przy stajni. Włożył tam najpotrzebniejsze rzeczy: kanapki owinięte w bawełniany ręcznik, dwa litry wody w butelce, worek owsa, około pięciu kilogramów, pojemnik na olej do piły mechanicznej, duży dwudziestolitrowy baniak na mieszanekę paliwową oraz klucze potrzebne do serwisowania piły. Wrócił i położył skrzynię z tyłu wozu. Poszedł też do drewnianej szopy. Po chwili zjawił się z piłą w jednym ręku i dwiema siekierami w drugim, a na szyi miał przerzucony metalowy łańcuch, kilka pętli. Rozłożył wszystko na wozie, usiadł z przodu i smagnął konia batem. Koń ruszył. Plan na dziś był pro-

sty: zwieźć wszystkie ścięte drzewa, które czekały na niego w wyznaczonym miejscu, i wrócić w miarę wcześnie, by móc zacząć je obrabiać jeszcze tego dnia. Gospodarz znał się na wycince. Pracował w lesie od lat. Gdy zmarła jego żona, nie utrzymywał się już z gospodarstwa, a część areału oddał nadleśnictwu pod zalesienie. W zamian za to mógł wycinać drzewa wskazane przez leśników. Zebrane drewno ciął i rąbał na szczapy, rozmiarem nadające się do kominka. Na tym zarabiał. Pozostałą część pola obsadził drzewkami owocowymi, a na małym fragmencie posiał trawę, gdzie pasł się jego koń. Miał też kilka grządek z warzywami, głównie ogórkami, kapustą i rzodkiewką. To mu wystarczało do życia. Mieszkał sam. Jego dwaj synowie wyprowadzili się bliżej miasta i tylko czasem odwiedzała go jego jedyna wnuczka – Ania.

Jechali wolno. Droga do wyciętych drzew była długa i niełatwa. Najpierw prowadziła po asfalcie, a potem na rozjeździe zmieniała się w drogę leśną, która pokierowała ich w głąb lasu, aż za starą leśniczówkę. Potem i ta droga się kończyła. Jechali więc lasem po ścieżce wyżłobionej w leśnym runie aż do miejsca wycinki. Powalone drzewa w ilości ośmiu dorodnych buków czekały na niego już obrobione z gałęzi i liści. Jedynym problemem było ich umiejscowienie na dosyć stromej skarpie. Po dojechaniu na miejsce starszy mężczyzna wypiął konia z wozu i przygotował go do wyciągania drzew. Gruby łańcuch zapiął w orczyk, który leżał na ziemi połączony z pasem pociągowym stanowiącym część końskiej uprzęży. Dał koniowi owsa i ruszył do pracy, wziąwszy siekierę i piłę ze sobą. Skierował się do powalonych drzew. Jeden koniec leżącego drzewa zaciosił siekierą na kształt litery „V” tak, by można było objąć je łańcuchem. Po paru nastu minutach kłoda była już przyczepiona do uprzęży konia. Koń ruszył. Jego kopyta

grzęzły w miękkim gruncie, zsuwając się momentami po skarpie, ale szedł do przodu, sapiąc i parskając przy tym głośno, co chwilę z jego pyska ulatywała ciepła para.

Po wyciągnięciu kłody na płaski teren i doprowadzeniu do wozu gospodarz ładował ją na wóz, wykorzystując do tego siłę zwierzęcia. W razie potrzeby ciął drzewo na mniejsze kawałki. Było już po południu, gdy została mu tylko jedna kłoda, olbrzymia i usytuowana w dość kłopotliwym miejscu. Obejrzał ją, opracowując w myślach plan wyciągnięcia: gdzie przyciąć, gdzie zapiąć łańcuchy i jak poprowadzić konia.

Gdy swój pomysł wdroył w życie, smagnął batem i koń ruszył. Ta kłoda była najcięższa. Zwierzę odczuło to od razu, gdy łańcuch się napiął. Szło wolno, przebijając kopytami, które coraz głębiej grzęzły w błocie. Przystawało co chwilę, jakby motywując się do kolejnego wysiłku. Gospodarz długim drewnianym drągiem podtrzymywał drugi koniec kłody i kontrolował, by nie zsuwała się w dół skarpy. Sam również sapał i ciężko oddychał. Koń przystanął i ruszył ponownie. W tym momencie mężczyzna zauważył, że kłoda zaczyna się obracać i staczać. Łańcuch owinął się kilka razy przy obrocie, starszy człowiek przyblokował go drągiem, ale nie zdążył uciec. Przewrócił się na plecy, a obracająca się kłoda przycisnęła go do drzewa, które stało za jego plecami. Całe szczęście, że przód kłody oparł się o drugie drzewo, inaczej niechybnie by zginął. Zemdlał.

Gdy wróciła mu świadomość, próbował się wydostać, szarpiąc się we wszystkie strony. Kłoda jednak była zbyt ciężka i mocno przyciskała mu nogi. Mężczyzna nie czuł, by były złamane, ale wyciągnąć ich nie potrafił. Ból nie był duży, dodatkowo mógł ruszać stopami i nic go przy tych ruchach nie bolało. Nie miał jednak siły, by odrzucić kłodę.

Zrezygnowany zaczął zastanawiać się, co tu zrobić. Był daleko od dróg, głęboko w lesie. Zaczął wołać o pomoc. Krzyczał tak kilkanaście minut z przerwami, ale ratunek nie nadszedł. Nikt się nie zjawił. Zmęczony dał za wygraną, potrzebował odpoczynku. Wtem usłyszał trzask łamanych gałęzi. „Na dzikie zwierzę za wcześniej”, pomyślał. Dźwięk rozlegał się coraz bliżej i gospodarz rozpoznał ludzkie kroki.

– Tutaj! – zawołał. – Tutaj! Przygniotło mnie!

Zza drzew wyłoniła się wysoka postać w zielonej pelerynie, która zbliżała się do przygniecionej mężczyzny.

Leżący pod drzewem wpatrywał się w nieznajomego. Pod kątem dojrzał nieogoloną twarz. Obcy zbliżył się i zaczął główkować, co zrobić. Od samego początku był zajęty znalezieniem sposobu na wyciągnięcie poszkodowanego, ale nie odezwał się ani słowem. Gospodarz patrzył na niego ze zdziwieniem, gdy ten rozglądał się po okolicy. Coraz bardziej nabierał pewności, że obcy wie, co robi. Mężczyzna w pelerynie rozpiął łańcuch, przeprowadził konia na drugi koniec kłody i tam też zapiął łańcuch ponownie. Rozejrzał się dookoła i dostrzegł dwa solidne drągi z wycinki. Po chwili już stał z nimi przy gospodarzu. Jeden położył wzdłuż kłody, a drugi wsunął prostopadle od góry w szczelinę między kłodą a krótkim drągiem i mocno się zaparł. Drugą ręką smagnął batem. Koń ruszył i gospodarz poczuł, jak nogi uwalniają się od ciężaru. Obejrzał się. Drugi koniec kłody zaparty o drzewo zaczął się obracać, a za bliższy mu koniec ciągnął koń, wspomagany przez drągową dźwignię, pchaną przez obcego w pelerynie. „Sprytnie”, pomyślał starzec.

Po chwili był wolny. Zaczął badać nogi rękami i z trudem powoli się podniósł. Czuł ból, ale mógł stać. Dla pewności zrobił kilka kroków, po nich czuł się już pewnie. „Wszystko jest w po-

rządku” – pomyślał, uśmiechając się w stronę obcego, ale on w tym czasie pogonił konia. Zwierzę powoli przyciągnęło kłodę do wozu. W milczeniu załadowali ją wspólnie na wóz i gospodarz zaczął zbierać się do drogi. Utykał przy tym na lewą nogę.

– Jak cię zwą? – odezwał się do nieznajomego.

– Jestem Jan – odpowiedział po chwili milczenia obcy, chcąc już odejść.

– Dziękuję. – Starszy mężczyzna uśmiechnął się i skinął głową. – Mieszkam na skraju lasu, przy rozjeździe. Jeśli chcesz zarobić, przyjdź jutro. – Obrócił się w stronę drogi i szarpnął za lejce. Koń powoli ruszył, a nieznajomy zniknął.